

Paul Auster, *4 3 2 1* czyli W labiryncie książki-smoka

Jeżeli podczas czytania książki można znieść jajo, to właśnie zostałam mamą dorodnego jajka wielkości XXXL, na dobytek przenieszonego, z którego ani chybi wykluje się smok. Smok z ojca smoka. Tak mi się jawi ostatnia powieść-monstrum Paula Austera "4 3 2 1", którą dostałam od wydawnictwa Znak do recenzowania. Książka swoje waży i jest rozmiarów połowy walizki, wiem, bo zjeździłam z nią w kółko pół Europy cały czas w nadziei, że w końcu doczytam ją do końca i gdzieś w drodze uwolnię się od jej ciężaru.

Niestety, jest to książka bez końca. Gdy bowiem wreszcie dobrnęłam do ostatniej, 847 strony, pomyślałam sobie, że teraz należałoby przeczytać tę książkę raz jeszcze, od nowa, wiedząc od początku to, czego czytelnik dowiaduje się na samym końcu, jaki jest właściwie zamysł jej autora. Jednym słowem jest to smok pożerający własny ogon, mityczny Uroboros.

I nie jest to przypadkowe porównanie. Proszę bardzo, oto co mówi Wikipedia: *Jako symbol gnostyków Uroboros wyraża jedność duchową i fizyczną wszechrzeczy, która nigdy nie zaniknie i będzie trwać w nieskończoność w formie ciągłej destrukcji i odradzania się. Uroboros był pierwotnie symbolem rzeki, jaka miała opływać Ziemię, niemającej źródeł, ani ujścia, do której wlewały się wody wszystkich rzek i mórz na świecie. Jest to symbol nieskończoności i wiecznego powrotu. Gryzący własny ogon wąż/smok obrazuje proces wiecznego powtarzania się, koniec jest zarazem początkiem i tak bez końca. Mamy tu do czynienia z symboliką cyklicznego powtarzania - obiegu czasu, odnawiania się świata i światów, śmierci i odrodzenia, wieczności po prostu.*

Jednakowoż: *Dla osób niezainteresowanych starożytną symboliką, zwierzę zjadające własny ogon to przykład głupoty. Pożerając fragment swojego ciała, działa na własną szkodę. I właśnie to pospolite odczytywanie symbolu Uroborosa, leży u źródeł znaczenia związku frazeologicznego "zjadać własny ogon".*

A tak! Tak jawi mi się ta książka, jako potwór zjadający własny ogon. Dzieło życia Paula Austera, nad którym musiał kołkiem przesiedzieć dobrych kilka lat, to nie tyle *opus magnum* ile *opus malignum*. Ja, czytelnik, krążę i krążę i gdy już, już myślę, że doszłam do jakiejś krawędzi, jakiegoś sedna, jakiejś puenty, okazuje się, że horyzont przede mną ucieka i wędrówka trwa dalej i dalej. Labirynt bez wyjścia, bo, jak już powiedziałam, koniec książki nie oznacza końca czytania, należałoby się zawziąć i czytać ją od nowa. Przecież po drodze, w tym czasie, gdy czytałam dalej i dalej, wcześniejsze szczegóły mogły się pozmienić, przypadki inaczej poukładać i losy bohaterów całkiem inaczej posplatać.

Głównym bohaterem książki jest niejaki Archie Ferguson, nowojorczyk z ducha i wyboru o żydowskich korzeniach sięgających carskiej Rosji. Jego dziadek dnia 1 stycznia 1900 roku wysiadł na Ellis Island ze statku z biednymi imigrantami ze wschodniej Europy. Według urodzonego w Newarku nowojorczyka Paula Austera nazywał się Reznikoff, ale według mnie z obowiązkowym rosyjskim w szkole to zapewne był Rieznikow.

Tylko cóż to za nazwisko w Ameryce przełomu XIX i XX wieku? Żadne! Gdyby tak Rockefeller, jak podpowiadał mu

lepiej zorientowany w imigracyjnych chwytach przypadkowy współtowarzysz podróży! To byłoby coś! Niestety, przyszły dziadek Fergusona, skołowany przeprawą sztormowym Atlantykiem dziesiętnastolatek, na pytanie urzędnika jak się nazywa, odpowiedział w jidisz, że zapomniał, co brzmiało "*ich hob fargessen*". Urzędnik skrupulatnie wpisał do akt: *Ichabod Ferguson*.

Tak zaczyna się powieść "4 3 2 1" i, jak widać, i ja nie jestem w stanie inaczej jej opowiedzieć, niż od samego początku. Po różnych perypetiach doprowadzających do nieuchronnego spotkania się przyszłych rodziców głównego bohatera na świat przychodzi on sam, Archibald Isaac Ferguson. Jest 2 marca 1947 roku. Paul Auster, przyszły autor opowieści o swoim fikcyjnym *alter ego*, kończy tego dnia równo miesiąc. W losach Fergusona, bo tak go będziemy nazywać, nawet jeśli bliscy mówią do niego Archie, mienią się migotliwie losy samego pisarza, to pokrywając się dokładnie, to znów rozbiegając się mniej lub bardziej znacząco, bo o ile życie Fergusona rozszczepia się na cztery losy, Paul Auster ma los tylko jeden, a mianowicie swój.

<https://www.youtube.com/watch?v=nVOaO6cvVT8>

Ale przecież stojąc na różnych rozdrożach, mógł być pchnięty przez losowy przypadek na inną drogę i wtedy cała reszta życia potoczyłaby się zupełnie albo przynajmniej trochę inaczej. To właśnie frapuje pisarza, gdyby tak można było przeżyć kilka żyć? Na przykład cztery? Życie 4, 3, 2 i 1? Co byłoby w tych różnych życiach podobne a co inne? Czy przeznaczenie za każdym razem okazywałoby się być przeznaczeniem urodzonego pisarza? Czy we wszystkich wariantach spotykałby tę samą miłość życia? Co jest danym do kołyski przeznaczeniem, losem, z którym się rodzimy, a co przypadkowym zrządzeniem losu?

Prawda, że jest to fantastyczny pomysł na *quasi* autobiograficzną powieść? Tak, jest! Wiedząc z zapowiedzi, na co się zanoszi, i znając praktycznie wszystko, co wyszło spod pióra Paula Austera, z niecierpliwością wyglądałam paczki z książką. Ale ukoronowanie pracy literackiej pisarza reklamowane jako "pełna pasji monumentalna powieść mistrza literatury amerykańskiej", "epopeja XX wieku", "finalistka Man Booker Prize 2017" okazała się, jak dla mnie, ciężkostrawna. Jestem nią tak rozczarowana, jak bardzo się na nią cieszyłam. Gdybym się nie bała blasku, jaki bije od nazwiska, powiedziałabym "gniot".

Zresztą nie boję się i powiem: może i zamysł był genialny, ale wyszedł gniot. Wiem, wiem, ten w mojej ocenie gniot, ma bardzo dobre krytyki, nawet jeśli nie tylko. Więc jak to jest możliwe? Ano tak, że czytelnicy są różni. A że krytycy to zarazem czytelnicy, i oni, my jesteśmy różni. *Et voilà*, jest i przykład u samego Austera: "...jedynym pisarzem na świecie noszącym imię Archibald był najmniej przez Fergusona lubiany amerykański poeta Archibald MacLeish, który zdobył wszystkie możliwe nagrody literackie i był uważany za skarb narodowy, a tak naprawdę był nudnym beztalenciem".

I otóż Paul Auster beztalenciem nie jest, ale tym bardziej zaskoczyło mnie, że napisał tak nudną książkę. I to tak bardzo nudną, że w jakimś sensie fakt ten rzutuje mi nawet wstecznie na te wszystkie przeczytane już przeze mnie książki z jego stajni, czyżbym się co do nich myliła? Czy podobały mi się tylko dlatego, że były krótkie? Najprawdopodobniej, bo gdyby zabawić się w dofantazjowywanie innych wersji tych książek, rozciągniętych do rozmiarów powieści "4 3 2 1", to zapewne zostałabym matką kolejnych jajek XXXL z kolejnymi smokami w środku. Na litość boską!

Paul Auster do tego stopnia opowiada "4 3 2 1" na jednym tonie, że po kilkunastu stronach ja, czytelnik, zaczynam tracić rozeznanie, czy coś jest ważne, czy nieważne, zabawne, czy poważne, dramatyczne, czy obojętne. Snuje się ta historia zdanie po zdaniu, strona po stronie, rozdział po rozdziale, a ja czytając myślę sobie "wściekł się chłop!". Chłop postanowił bowiem najwyraźniej w świecie opowiedzieć wszystko jak leci jeden do jednego, ważne, nieważne, istotne, nieistotne, jak na jakimś zeznaniu, lub, gorzej, przesłuchaniu przez świętego Piotra u bram nieba, gdzie czas się już nie liczy.

Zresztą może się myłę? Choć podejrzewam, że to chwalący może nawet nie przeczytali tej książki? Inni pochwalili, to i oni chwala? Paul Auster, więc muszą chwalić? A zatem żeby nie było, że jestem gołostowna, zacytuję z książki jedno zdanko, na chybił trafił jedno, owszem, niekrótkie, ale takimi zdaniami napisana jest cała powieść. Jeśli ktoś lubi czytać na wdechu takie zdania, to spodoba mu się cała książka. I super! Wydatek się opłaci, bo czytając dalej i dalej, zapomina się, co już się przeczytało, lub myli się, co było wcześniej, więc trzeba czytać od nowa i od nowa. Inwestycja na resztę czytelniczego życia, miłej lektury! Jeśli nie, niech sobie da spokój, jest tyle innych książek do przeczytania! Niech mi podziękuję, że zaoszczędzi na kasie i czasie. A oto próbka, jedno zdanie, jedno z wielu zdań, długości *exactly* jednej książkowej strony:

To była jedna z dziwnych rzeczy związanych z ostatnim rokiem nauki w liceum, kiedy większość czasu zastanawiasz się, co będzie za rok, mając świadomość, że jakiejś części ciebie już tutaj nie ma, mimo że nadal tkwisz w tym samym miejscu, żyjesz w dwóch światach naraz, szara teraźniejszość i niepewna przyszłość sprowadzająca twoje istnienie do zestawu liczb obejmującego średnią i wynik testów końcowych, do nagabywania ulubionych nauczycieli, aby napisali ci listy polecające w celu tworzenia absurdałnego, nieprawdopodobnego eseju o samym sobie, bo masz nadzieję, że zrobisz nim wrażenie na komisji składającej się z anonimowych obcych ludzi, a oni wezmą pod uwagę twój talent i przyjmą cię do swojej instytucji, a potem w marynarce i krawacie jedziesz tam, by przepytał cię ktoś, czyje zdanie mocno zaważy, czy cię przyjmą, czy nie, i wtedy nagle Ferguson zaczął przejmować się swoją ręką, po raz pierwszy od miesiąca poczuł niepokój z powodu braku dwóch palców, siedząc naprzeciwko człowieka, który miał mu pomóc podjąć decyzję o przyszłości, i zastanawiając się, czy ów człowiek postrzega go jako osobę niepełnosprawną, czy może ktoś, kto miał tylko wypadek, i wtedy, mimo że odpowiadał na pytania tego człowieka, przypomniał sobie chwilę, gdy oboje z Amy rozmawiali o jego ręce, było to jeszcze w lecie, kiedy z jakiegoś powodu spojrzął na swoją dłoń i powiedział, że budzi w nim odrazę, co ją do głębi wzburzyło, zaczęła na niego krzyczeć, że jeśli jeszcze raz powie coś na temat swojej ręki, ona weźmie tasak i odrąbie sobie lewy kciuk, i wręczy mu jako prezent, była strasznie wściekła, więc obiecał, że nigdy już nie poruszy tego tematu, i kiedy dalej mówił coś do człowieka przeprowadzającego z nim rozmowę, uświadomił sobie, że nie wolno mu o tym wspominać, co więcej, nie wolno mu o tym myśleć, więc stopniowo zmusił się do wyparcia tej myśli z głowy i skupił na rozmowie z owym człowiekiem, profesorem na wydziale kompozycji na Columbi, uczelni, która, rzecz jasna, w pierwszym rządzie go interesowała, jedyne college'u, w jakim chciałby się uczyć, i kiedy subtelny, niesamowicie sympatyczny i dowcipny kompozytor dodekafonicznych oper dowiedział się, że Ferguson interesuje się poezją i chciałby zostać pisarzem, podszedł do biblioteki w swoim gabinecie, wyjął cztery najnowsze numery "Columbia Review", studenckiego pisma literackiego, i wręczył je zdenerwowanemu, nieśmiało kandydatowi na studia z drugiego brzegu Hudsonu.

Tu muszę dodać, że tłumaczka Maria Makuch, która bez wątplenia przeczytała "4 3 2 1" od deski do deski, jej moja teoria spiskowa nie obejmuje, zrobiła doskonałą robotę, najmniejszych potknięć, nie mam pytań. Również wydanie jest praktycznie bez błędów, literówek, braku lub nadmiaru znaków przestankowych. Pod tym względem książka jest doprawdy bez zarzutu. Ponadto jeśli wyciągnąć ekstrakt z treści, jest ciekawa i pełna informacji, lata 50. i 60. w USA i to razy cztery, pod tym względem nie jest to bynajmniej strata czasu. Również uwagi Paula Austera / Fergusona na temat, sic, pisarstwa są nie do przecenienia. Do kompletu powinnam dodać listę tych wszystkich

książek, które od marca do teraz przeczytałam, żeby od czasu do czasu odreagowywać dla złapania oddechu mordowanie Austera. Faktem jest, że jest to ciężki kaliber, Auster lekkiego pióra nie ma, w przeciwieństwie do zmarłego niedawno Philipa Rotha także z Newarku i z rodziny żydowskiej o wschodnioeuropejskich korzeniach.

* * *

Paul Auster, "4 3 2 1" w tłumaczeniu Marii Makuch, wyd. Znak, Kraków 2018

Recenzja dla wydawnictwa, choć nie jestem pewna, czy wydawnictwo się ucieszy. No, ale... jest jak jest, ponadto czytam, że amerykański wydawca skrócił książkę z 1200 stron do tych marnych 850, czyli o 1/3, więc widać i on nie był przekonany co do niezbędności każdego słowa.

Oficjalny opis książki:

3 marca 1947 roku na świat przychodzi Archibald Isaac Ferguson. Człowiek, który może przeżyć swoje życie cztery razy. Za każdym razem los prowadzi go zupełnie inaczej. Tylko jedno się nie zmienia: uczucie do niesamowitej Amy Schneiderman.

Precyzyjnie skonstruowana i pełna pasji monumentalna powieść mistrza literatury amerykańskiej znalazła się na wszystkich listach najważniejszych książek 2017 roku i osiągnęła status bestsellera. Nazwano ją epopcją XX wieku.

"Zdumiewająca, ambitna powieść, prawdziwa przyjemność. Jest jak odmieniająca życie podróż". (National Public Radio)

Paul Auster - jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy, wielokrotnie nagradzany autor bestsellerowych książek, m.in. "Sunset Park", "Trylogii nowojorskiej", "Człowieka w ciemności", oraz twórca takich filmów, jak "Dym", "Brooklyn Boogie" i "Lulu na moście". Jego książki zostały przetłumaczone na 35 języków. Nowojorczyk.

Recenzja Justyny Sobolewskiej pod tytułem "Więzień szczegółu" i z podtytułem "Autor znowu stał się więźniem swojego ulubionego tematu. A wyglądało, że będzie inaczej", jest znacznie krótsza, ale zasadniczo pokrywa się z moją (choć zaznaczam, są i inne, znacznie bardziej przychylnie aż po entuzjastyczne). Jej ocena 3/6, "Polityka", 27 marca 2018

Recenzja ze strony Qbuś pożera książki pt. "Bildungsroman mal vier, czyli '4 3 2 1' Paula Austera"

